

Księga trzecia  
*1496-1503*

---

## Zamek i las

Przeszedłszy przez most zwodzony i minąwszy wewnętrzny podwórzec gospodarczy bracia skierowali się wzdłuż fosy zamkowej w tę stronę ogromnego czworoboku lidzbarskiego zamku, która najkrótszą drogą prowadziła do lasu.

Andrzej zmienił się ostatnimi czasy na korzyść, stał się spokojniejszy i mniej zadziorny. Pociągał go las i Mikołaj nie miał nic przeciw temu, by wypuszczać się razem z nim na dalekie spacer. Może dobrze wpłynęły na brata niższe święcenia duchowne, które obaj przyjęli zimą w Chełmnie? Może wywarło nań błogosławiony wpływ klasztorne życie u boku dobrej siostry — ksieni tamtejszych cystersek? Choć przecież święcenia przyjęli z pewnym wyrachowaniem, subdiakoniat potrzebny im był po prostu dla uzyskania poparcia kapituły warmińskiej w staraniach o tytuły kanoników. Mogło to nie być potrzebne szlachcicom lub możnym mieszczanom, lecz sierotom po kupcu toruńskim bardzo się mogło przydać.

Kapituła twardo i solidnie przeciwstawiała się decyzji biskupa Waczenrodego w sprawie uczynienia Mikołaja kanonikiem. Kanonicy opierali się prawdopodobnie dla samej zasady przeciwstawiania się śmiało sobie poczynającemu biskupowi. Ten przeto chwycił się różnych sposobów, a wśród nich i tego: Przyjmijcie niższe święcenia.

Idąc przez las, wdychając z rozkoszą żywiczne powietrze, bracia rozmawiali o tych sprawach, była bowiem najlepsza ku temu okazja. Mikołaj część doby spędzał sam w bibliotece zamkowej lub na wieży, skąd w bezchmurne noce obserwował niebo.

Gdy jesienią Mikołaj usłyszał propozycję wuja, zawahał się wprawdzie: czy można tak sobie wiązać ręce na całe życie? Przekonał go dopiero argument, że niższe święcenia ani nie zamykają bram świata, ani do dalszych święceń nie zobowiązują. Andrzej zaś od razu, bez namysłu, poszedł w jego ślady. Stał się z nim jeszcze bardziej solidarny od chwili, gdy zrozumiał, jak trudno wuj musi walczyć z warmińskimi kanonikami o zabezpieczenie siostrzeńcom dożywocia w kapitule. Jeżeli są takie trudności z bratem — pomyślał — będą podobne i ze mną. I to ich zjednoczyło.

Szli teraz przez las ścieżką prowadzącą wzdłuż krętej rzeki Łyny. Wsłuchiwali się w pierwsze odgłosy wiosny, wchłaniali zapach boru. Była połowa marca, zima skończyła się wyjątkowo wcześniej i chociaż gdzieś leżały jeszcze ostatnie wysepki śniegu, słońce buchało nagłym wiosennym gorącem, zaś w lesie prześwitywało przez konary drzew wesołymi, ciepłymi promyczkami. Ptactwo hałasowało na dobre, a raz po raz przebiegały przed zachwyconymi młodzieńcami łanie lub zające. Szli leśnymi drózkami dla samej przyjemności, jaką daje człowiekowi zmęczonemu księgami kontakt z przyrodą.

— Przeczuwam, że już długo tu nie zabawimy — wszczął rozmowę Mikołaj — i jak tylko wiosna zwycięży zimę, wuj wyśle nas razem z Jerzym Prangem do Italii.

— Tak myślisz? — powiedział radośnie Andrzej. Obydwaj z utęsknieniem marzyli o tej chwili. — Pojechałbym dziś! A w dodatku statkiem. Czy uważasz to za możliwe, by wuj wysłał nas statkiem z Gdańska prosto do któregoś z portów italskich?

— Oczywiście. I myślę, że byłaby to podróż wygodniejsza od męczącego wleczenia się końmi przez całe tygodnie. Statki morskie bywają dobrze wyposażone, można na nich doskonale mieszkać. A żebyś wiedział, jak świetnie da się z morza obserwować niebo!

— Chyba tak. Ale prawdę mówiąc, wolałbym wieczorami po-

pijąc ze sternikiem dobre wino. Skąd jednak bierzesz, braciszku, te przypuszczenia o rychłej naszej podróży?

— Wiesz przecież, że przesiaduję po parę godzin dziennie w bibliotece. Zdarzy się, że wuj tam zajrzy w tym samym czasie. Przy takiej okazji w cztery oczy jest skłonny do zwierzeń. Opowiada mi niekiedy różne rzeczy, snuje swoje plany. Wierz mi, Andrzeju, to człowiek nieprzeciętny, choć o trudnym charakterze, ale może właśnie musi być taki twardy, by podołać ogromnym zadaniom i obowiązkom?

— Możliwe.

I zaczął Mikołaj opowiadać, z czego zwierza mu się wuj Łukasz. Dumny jest przede wszystkim ze swych dobrych stosunków z królem Janem Olbrachtem i ze swej znacznej pozycji w ziemiach pruskich.

— Wuj Łukasz dba o utrzymanie niezależności Warmii, której jest nie tylko biskupem ale i władcą. Warmia zawsze była niezależna, lecz poprzednicy wuja trzymali bardziej stronę Zakonu, a wuj niezależność jej widzi raczej przy boku króla.

— Ha, trudne to do zrozumienia sprawy — oznajmił Andrzej szczerze. — Niby ta ziemia do Polski przynależy, lecz urzędników królewskich na niej nie znajdziesz, wszystko tylko ludzie biskupa.

— Ambicją wuja jest właśnie utrzymać ten stan rzeczy. Jest to jednakże niesłychanie trudne przy znanej ci zaborczości Krzyżaków. Ale wujowi to się jakoś udaje, przez co cieszy się wszędzie wielkim mirem. Na zjazdach stanów pruskich oddają mu przewodnictwo, zaczynają nawet nazywać go prezesem ziem pruskich.

— A z kapitułą rady sobie dać nie może.

— Nie jest tak źle, poradzi sobie z nią, choć to ciężka sprawa. Trudniejsza chyba właśnie z Zakonem walka, bo siłę Krzyżacy mają jeszcze ogromną, choć polskiego króla się boją. A wuja przeklinają straszliwie i obrzucają najgorszymi wyzwiskami



za to najbardziej, że z Kallimachem straszliwy plan przeciw nim uknuł.

— Jakież to plan?

— Pierwotnym zadaniem Krzyżaków było, jak wiesz, nawracanie pogan na wiarę chrystusową. Umyślił więc wuj, że tę służbę powinni i obecnie pełnić. W tym celu trzeba ich przenieść w inne strony, mianowicie na Podole i Mołdawię, gdzie mogą do woli walczyć z niewiernymi.

Andrzej zaśmiał się głośno:

— Rzeczywiście, plan chytry! Nic dziwnego, że Krzyżacy nazywają wuja diabłem wcielonym.

— A trzeba ci wiedzieć, że Kallimach do tego planu przekonał się, zaś jemu z kolei udało się przekonać króla. Mądry Italczyk był w Lidzbarku w tym czasie, gdyśmy bawili w Chełmie. Szkoda, że nie mogliśmy zobaczyć się z tym wielkim humanistą, który ma się za Polaka.

— A co będzie z tym planem? — dopominał się o szczegółową informację zaciekawiony Andrzej.

— Zobaczymy — odparł Mikołaj, jako że sam nie wiedział zbyt wiele. A raz wspomniawszy króla, zaczął powtarzać opowieść wuja Łukasza o kilkumiesięcznym pobycie Jana Olbrachta w Toruniu, o którym zresztą i Gertnerowie szeroko wspominali. Były to dla biskupa warmińskiego wielkie dni. Radni pruscy w dniu przybycia monarchy przeprawili się na drugi brzeg Wisły, by tam przyjąć dostojnego gościa. Na brzegu toruńskim został tylko Łukasz Waczenrode. Wysłannicy pruscy przywitali króla i jego brata Zygmunta. Przybywszy, Olbracht wraz z bratem zsiadli z koni i z odkrytymi głowami wyciągnęli ręce. Wojewoda malborski wygłosił przemówienie, podziękował za przybycie. Król, powiedziawszy także kilka słów, przeprowił się z radnymi statkiem na drugi brzeg Wisły. Tam dopiero przyjął go biskup warmiński z tłumem kleryków. Następnie spotkała monarchę rada toruńska, ławnicy, obywatele. Potem Jan Ol-

